

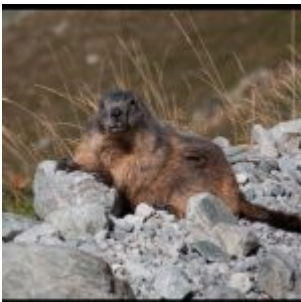
Barre des Écrins – flashback



W bagażniku Zafiry niczym w busie



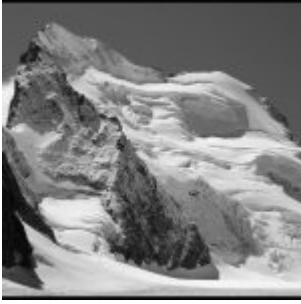
Nieco mistyczny widok z rana.



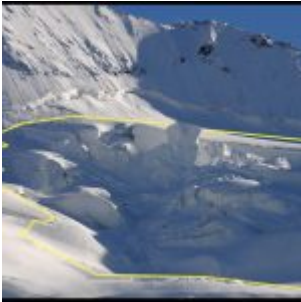
Bezczelnus świstakus



Zaznaczone schronisko Glacier Blanc



Szczyt w całej okazałości



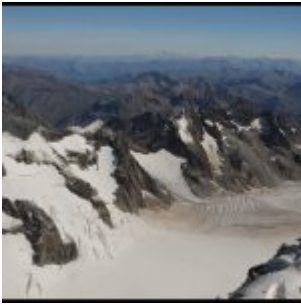
Bylibyśmy małymi kropkami w świecie lodowych formacji



Wschód słońca na ośnieżonym stoku



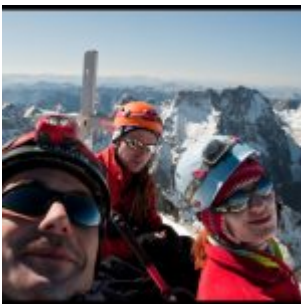
Śnieżna ścianka



Daleko na horyzoncie kolos – Mont Blanc



Rzut oka ze szczytu w kierunku grani – widać na niej dwóch wspinaczy. Ośnieżony wierzchołek z prawej strony to Dome de Neige.



4-tysięcznik zdobyty!



Grzechu na grani w drodze powrotnej



Zjazd z Pic Lory



Aga szykuje się do zjazdu



Widok z Dôme de Neige des Écrins



Mont Blanc widziany ze szczytu „pipanta”



Reścik



Zasłużony odpoczynek po zejściu do namiotu



Droga na szczyt



Mont Pelvoux

Seven alpinists were killed on Tuesday, 15 September 2015 when they were hit by an avalanche on Dôme de Neige, in France's Ecrins massif.

According to www.ledauphine.com, the German and Czech mountaineers were ascending in three separate but close groups and were hit by the avalanche at circa 3900m, below the Barre des Écrins on the final traverse that leads to the summit of Dôme de Neige (4015m).

Powyższą informację przekazał nam Grzesiek zaledwie dwa tygodnie po naszym powrocie z tego samego miejsca. W takim terenie jak tamten nie mieli zbyt dużych szans, choćby ze względu na szczeliny, seraki i stromy stok. Zginęło 4 Niemców i 3 Czechów. Życie wygrało tym razem 2 Hiszpanów, którzy ze względu na warunki w tym dniu zmienili plany i zrezygnowali z wejścia na szczyt.

Dlaczego 3 niezależne grupy alpinistów znajdowały się na tyle blisko siebie, że dosięgnęła ich ta sama lawina? Być może zadecydował czynnik psychologiczny. Kto błądził po lodowcu ten wie, ile zmienia w psychice natknięcie się na czyjeś ślady. Jeśli nikt poza nami nie idzie na szczyt to wyzwala to sporo wątpliwości. Może to nie ta droga? Może droga ok, ale pora nieodpowiednia? Może inni wiedzą o czymś o czym ja nie wiem? Na przykład, że ma się pogoda zepsuć?

Co innego gdy na tę samą górę przed nami i za nami idą inne zespoły. W takim wypadku *musi* być bezpiecznie. Bo przecież by nie szli.

Tego typu pułapki czyhają na wszystkich. Ech – trudny temat.



Mistyczny widok gór o poranku

Parking

Pod Refuge Cezanne (1874) podjeżdżamy popołudniu po długiej, dwudniowej drodze. Przejechaliśmy 1530 km, częściowo włoskimi autostradami, gdzie dopadł nas niezwykły grad. O szybę rozbijały się owady wielkości małych ptaków. Rozpadały się na szybie z efektem, jakby ktoś w nas jajkami rzucał. To było co najmniej dziwne.

Do kolejnego ranka będzie lał deszcz, ale jutro ma się roz pogodzić. Gdzie się dziś położyć? Jeśli rozłożymy namiot, to na następny dzień będziemy musieli mokry taszczyć do góry. Decydujemy się przespać w bagażniku samochodu. Bagaże spoczywają na przednich siedzeniach i na kokpicie. 3 osoby wygodnie rozkładają się na pace w Zafirze. Jest naprawdę cacy.



W bagażniku Zafiry niczym w autobusie na wycieczce szkolnej

Do bazy na lodowcu

Ranek jest wilgotny, mglisty, ale ewidentnie się rozpogadza. Zanim się pozbieramy do wyjścia jest godzina 9-ta i świeci słońce. W świetnych humorach zmierzamy do schroniska Refuge du Glacier Blanc (2542). 670m przewyższenia pokonujemy w nieco ponad 2h. Po drodze mijamy na szlaku świstaka, który nic z turystów sobie nie robi i beczelnie leży dosłownie w zasięgu ręki.



Bezczelnus Świstakus

W schronisku zamawiamy zupę (pewnie jedną na naszą trójkę jak nas znam) i ruszamy wyżej, na morenę – w kierunku lodowca Glacier Blanc. Pamiętam kilka szczegółów trasy. Prowadzi ona kamienistą ścieżką, jak to zwykle na morenie bywa. Oznakowany szlak czasem przecięty jest świeżo oberwaną skałą. Jest to nieprzyjemna droga. Pamiętam, że jeden z turystów traci równowagę i zsuwa się wiele metrów w dół. Na szczęście nie robi sobie krzywdy.

Około 14-tej schodzimy na lodowiec. Naszym oczom ukazuje się *nasz* szczyt. Wygląda imponująco z tej perspektywy.



Szczyt w całej okazałości

Szczeliny na lodowcu nie sprawiają trudności a my nie czujemy zagrożenia. Idziemy niezwiązani, ale czy do samego końca? Tego nie pamiętam. Pamiętam za to, że w pewnym momencie skraj lodowca odsłonił stosy stalowych puszek. Starych i mocno zardzewiałych. Nie mam pojęcia jaka historia się z nimi wiąże i dlaczego tak wielka ilość puszek spoczywa w tak ładnym miejscu. Zresztą miejsce to wyznacza odbicie do schroniska Refuge des Ecrins (3170). Nie podchodzimy jednak do niego, ponieważ po wytopieniu lodowca zostało wysoko na skale. Nasz cel na dziś jest inny. Docieramy na wypłaszczenie na wysokości blisko 3300 m i tu rozbijamy namiot.

Szczyt

Jest 26 sierpnia. Około 5 rano ruszamy w górę. Kluczemy pomiędzy szczelinami obserwując majaczące nad nami lodowe seraki. Niektóre są olbrzymie jak budynki. Wyglądają, jakby się miały zaraz oddzielić od reszty lodowej masy i runąć w

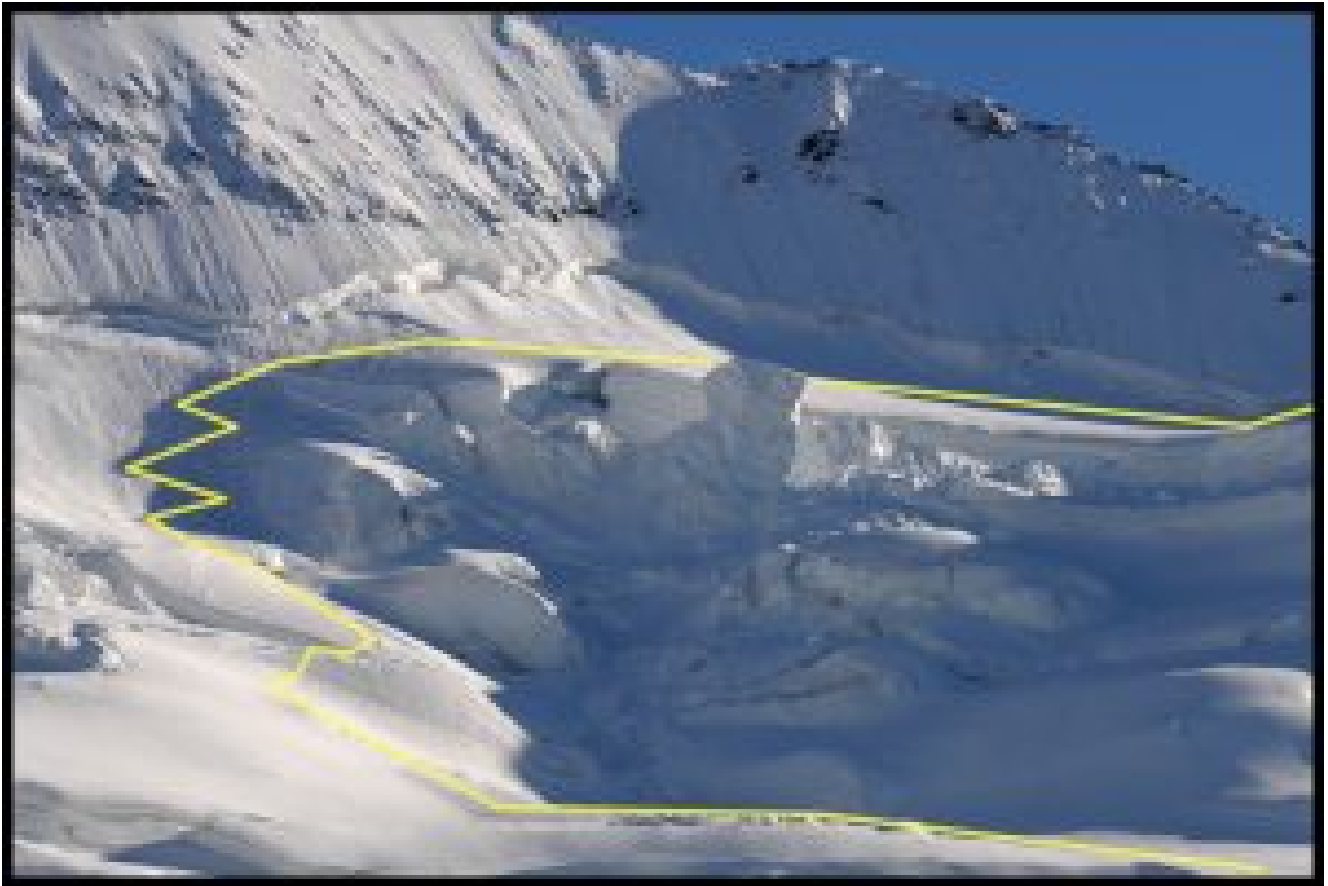
dół. Wkrótce niektóre z nich to zrobią. Czy dzisiaj? Jutro? Za 2 tygodnie albo za 2 miesiące? Nie chcemy się przekonać, więc podążamy tak szybko jak możemy, bez możliwości odpoczynku. Na szczęście droga jest dosyć intuicyjna, do tego w połowie stoku wschodzi słońce i możemy poczuć się pewniej. Na ostatnim trawersie doganiamy parę, która wyszła przed nami. Zmagają się z kłopotliwym odcinkiem – śnieżnym uskokiem pod samą granią.



Śnieżny uskoki

Tu już możemy spokojnie przysiąść i poczekać, złapać tchu. Wprawdzie to właśnie w tym miejscu za 2,5 tygodnia zginie 7 osób, ale wtedy będą inne warunki. W następnych tygodniach spadnie kilkadziesiąt cm śniegu.

Gdyby poniższe zdjęcie zrobione byłoby w momencie naszego odpoczynku, to byłibyśmy trzema czarnymi kropkami na ostatnim trawersie, czyli na górnym, prawie poziomym odcinku żółtej linii.



Bylibyśmy małymi kropkami w świecie lodowych formacji

Bez większych problemów pokonujemy uskok i wchodzimy na przełęcz. Tu zaskoczeni patrzymy na niemal pionową wysoką ściankę. W pierwszej chwili przymierzam się do niej z palcami i rękami. Jednak trudności wspinaczkowe są, jakby to powiedzieć... no są. To nie jest teren, po którym się idzie pomagając rękami, lecz jest to już próbka prawdziwej wspinaczki. Czystości stylu nie zachowuję i łapię się za rozwieszane poręczówki. Podciągając się na linach dochodzę do stanowiska. Upewniam się, że moi towarzysze poradzą sobie ze ścianką i ruszam na ostatni odcinek dzielący nas od szczytu. Grań jest ostra, trzeba balansować na niej z wyczuciem, bez chojrakowania. Chwyty są jednak duże i pewne. O 10:45 stajemy we trójkę na szczycie.



4-tysięcznik zdobyty!

Powrót – jak zawsze – w pełnym skupieniu. Zejście jest trudniejsze, i choć jest to frazes powtarzany nieskończoną ilość razy to za każdym razem mocno sobie to wbijam w głowę. Niejeden już doświadczony alpinista w rozluźnieniu po zdobyciu szczytu popełnił tragiczny w skutkach błąd. Mając te nauki w głowach docieramy bezpiecznie do ścianki schodzącej z Pic Lory. Teraz zjazd na przełęcz i możemy chwilowo się wyluzować.



Zjazd z Pic Lory

Idziemy jeszcze z Agą na Dôme de Neige des Écrins (4015) – mało samodzielny wierzchołek, ale zawsze to kolejna 4-tysięczna kopułka do kolekcji. Stamtąd przynajmniej można na spokojnie podziwiać widoki, bez obawy, że się obsunie noga. Można sobie tam nawet tańczyć, obserwując majaczący w oddali Mont Blanc. Trochę bez sensu – bo po co tańczyć na szczycie.



Widok z Dôme de Neige des Écrins

Wracamy na przełęcz i namawiamy Grzecha na wyskok na wierzchołek, bo przecież to tylko 15 minut stąd! „Będiesz żałował, że odpuściłeś” – wmawiamy mu z Agą. No i dał się namówić i poszedł. My sobie podjedliśmy, popiliśmy, odpoczęliśmy... a Grzecha nie ma. Już zniecierpliwiony podchodzę na górę, krzątam się, niepokoję. W końcu wraca nasz przyjaciel, wygląda na zadowolonego, lecz tłumaczy, że miał kryzys i prawie się zrzygał. Hmmm... ktoś tu jest w ciąży? Psst – to nie Grzechu.

Schodzimy do namiotu tą samą trasą, którą wchodziliśmy. Nie jest już tak straszna, a przede wszystkim można teraz nią niemal zbiegać nie wystawiając się na strzał pod olbrzymimi serakami.

Dialog przy namiocie:

– Masz Grzechu szczęście, bo dołączyłeś do nas w momencie, kiedy się zdecydowaliśmy na większe trudności niż człapanie.

– Za późno dołączyłem... – wymamrotał Grzechu pod nosem.

Droga, jaką przeszliśmy na szczyt przebiegała mniej więcej tak (bez kombinowania, puściło nas tak jak normalna trasa przebiega):



Droga na szczyt

Powrót

Tego dnia schodzimy jeszcze do schroniska Refuge du Glacier Blanc na wysokość 2542 m. Tu, na skałach szykujemy się do spania. Rozstawiamy namiot, ale kładziemy się na zewnątrz pod rozgwieżdżonym niebem. W nocy budzimy się jednak w wilgotnych z wierzchu śpiworach, które pokryła rosa. Chowamy się do namiotu i smacznie śpimy.

Rano przed oczami mamy piękny widok na szczyty Mont Pelvoux. A może by tak...



Mont Pelvoux

Tekst: Dziku*

*napisane 3,5 roku po przedstawionych w tekście wydarzeniach